

ESEJ

ANDRZEJ NOWAK

NAJGŁĘBSZE TRADYCJE POLSKIEGO APELU WOLNOŚCIOWEGO: OD HORODŁA DO HALI „OLIVII”

W samym sercu nowojorskiego Central Parku, tuż za Metropolitan Museum of Art, stoi pomnik: na granitowym cokole imponująca sylwetka konnego rycerza z brązu wznoszącego ponad ukoronowaną głową dwa skrzyżowane miecze. Jeździec pobudza wyobraźnię tysięcy spacerowiczów. „*Super knight!*” – superrycerz, walczy dwoma mieczami naraz – woła z podziwem mały skośnooki chłopiec, patrząc na monument. Z obu stron pomnika wielkie litery „POLAND” przypominają o pochodzeniu tego bohatera, a napis na froncie postumentu wyjaśnia (oczywiście w języku angielskim), kim był ów *super knight*: „Król Jagiełło, Król Polski, Wielki Książę Litewski, Założyciel Wolnego Związku Ludów Europy Środkowo-Wschodniej, zwycięzca nad krzyżackimi najeźdźcami pod Grunwaldem 15 lipca 1410”. Tą sylwetką i tą tradycją chciała szczyć się II Rzeczpospolita na otwarciu światowej wystawy w Nowym Jorku w 1939 r. Autor pomnika, znakomity rzeźbiarz Stanisław Kazimierz Waclaw Ostrowski, który zaprojektował także m.in. Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie, doczekał przekazania monumentu Jagiełły gminie Nowy Jork przez ostatniego konsula II RP w tym mieście w roku 1945. I tak już został – największy pomnik w Central Parku. W środku nowojorskiej stolicy świata Litwin jest symbolem Polski, jej mocy militarnej (Grunwald) i duchowego rozmachu „wolnego związku ludów Europy Środkowo-Wschodniej”.

Powód do dumy i powód do kontrowersji. Dwa miecze, polski i litewski (litewsko-ruski) wspólnie „wyrąbały” w końcu triumf bitewny nad zakonem krzyżackim. Ale jak się połączyły, dlaczego skrzyżowały w rękach litewskiego króla Polski? I co z tego dalej wynikło – dla Polaków, dla Litwinów, dla Rusinów, dla Europy, może nie tylko środkowo-wschodniej? Spieramy się o ponad cztery wieki związku polsko-litewskiego, który zapoczątkował ślub Jagiełły z Jadwigą. Różnie interpretujemy geopolityczne,

duchowe, kulturowe, „tożsamościowe” następstwa owej wielkiej unii, niemającej równych pod względem historycznej trwałości w dziejach naszego kontynentu. Ma też ta unia wielu znakomitych historyków, poczynając od Jana Długosza z polskiej strony i anonimowego autora XVI-wiecznej *Kroniki Bychowca* ze strony litewsko-ruskiej aż po najnowszą, kapitalną syntezę szkockiego badacza, Roberta Frosta *The Making of the Polish-Lithuanian Union, 1385–1569* (Oxford 2015).

Nie zamierzam streszczać tutaj ustaleń tej przebogatej historiografii. Chcę zwrócić uwagę tylko na jeden, szczególnie ważny chyba moment, w którym pojęcie „wolnego związku ludów” zaczęło nabierać w unii polsko-litewskiej znaczenia rzeczywistego, nowego i naprawdę wyjątkowego w skali całych dziejów Europy.

W momencie zawierania (w Krewie 14 sierpnia 1385 r.) unia była faktycznie umową małżeńską litewskiego księcia Jagiełły i polskiej królowej Jadwigi. Chrzest księcia i jego poddanych w obrządku łacińskim, katolickim, był najważniejszym punktem tej umowy. Zawierała wszakże ona jedno postanowienie, które stało się powodem do mylnej jej interpretacji jako dokumentu dosłownie rozumianej unii właśnie i zarazem do ciągnącej się przez wieki polsko-litewskiej kontrowersji o jego znaczenie. Pod koniec wystawionego w Krewie dokumentu pojawiają się następujące słowa: *Jagalo dux saepedictus promittit terras suas Litvaniae et Rusiae coronae regni Poloniae perpetuo applicare* – „wielokrotnie [w tym dokumencie] przywoływany książę Jagiełło obiecuje ziemie swoje litewskie i ruskie na wieczne czasy do korony Królestwa Polskiego **przyłączyć**”. Przyłączyć – to znaczy podporządkować! Ta logiczna implikacja jednego słowa *applicare* była rzecz jasna powodem obrazy dla obrońców litewskiej godności narodowej i pierwszym punktem aktu oskarżenia Jagiełły o „zdradę interesów narodowych”, a zarazem przesłanką dla imperialnych fantazji przedstawicieli strony polskiej, na pewno części historiografii i publicystyki polskiej XIX i XX w. Dwa znakomite przeglądy tych stanowisk dali w ostatnim czasie poznański badacz średniowiecznych stosunków polsko-litewskich Grzegorz Błaszczyk, a po nim wspomniany wyżej Robert Frost. Nie będziemy ich ustaleń tutaj powtarzali. Zastanówmy się raczej, jak w roku 1385 mogli rozumieć słówko *applicare* i samą ideę unii litewscy wystawcy krewskiego dokumentu (Jagiełło i jego bracia, także stryjeczni) oraz jego bezpośredni polscy odbiorcy.

Jak słusznie zwraca uwagę Błaszczyk, Litwinów nikt do podpisania aktu krewskiego nie zmuszał. Dodałbym jednak, że za wszystkich Litwinów (Rusinów i wszelkich innych mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego) mówił tylko jeden ich pan, *hospodar* – Jagiełło. Inni po stronie litewskiej nie mieli wtedy głosu. Po stronie polskiej wypowiadała się nawykła już do decydowania o sprawach publicznych reprezentacja stanowa – polscy panowie. Samego Jagiełły na pewno nikt do unii nie zmuszał. Rozmowy toczyły się na zamku litewskim, w centrum jego bezpośredniego panowania. Chciał tej unii, albowiem – jak to trafnie ujął w swej rozprawie o genezie unii znakomity znawca polityki wschodniej XIV w. Henryk Paszkiewicz – zamierzał „wciągnąć Polaków do wojen z wrogami Litwy na rozległych przestrzeniach i frontach. Pragnął Jagiełło urobić w swych nowych poddanych przekonanie, że walcząc nad Niemnem, Dźwiną czy Dnieprem, bronią Polski” (*O genezie i wartości Krewa*, Warszawa 1938). I urobił – a raczej dokołała tego długa historia polsko-litewskiej unii, która właśnie w Krewie się zaczęła.

Wbrew radykalnie kazuistycznym, sprzecznym ze zdrowym rozsądkiem interpretacjom *applicare* nie oznaczało realnego wcielenia Litwy do Polski. To nie było w ogóle możliwe. Polscy panowie z Krakowa nie oczekiwali, że staną się zwierzchnikami Żmudzi czy Połocka (realnie mogło im zależeć na utwierdzeniu swej kontroli na Rusi halicko-włodzimierskiej, a także stabilizacji wpływów na Podolu, dzielonych zresztą i tak z litewskimi Koriatowiczami). Nie dało się też zmusić książąt litewskich z rodu Giedymina, choćby wymienionych bezpośrednio w akcie krewskim Jagiełłowych braci – Skirgiełły, Witolda Lingwena i Korybuta – by zaakceptowali faktyczne wcielenie, podporządkowanie dzierzonych przez siebie ziem państwa litewskiego jakiejś polskiej administracji. Zwierzchnik rodu wielki książę Jagiełło mógł jednak skłonić większość swoich braci i dalszych krewniaków do złożenia hołdu Koronie Królestwa Polskiego, bo to on teraz koronę polską, najdosłowniej, a nie prawniczo rozumianą, miał włożyć na głowę. Jego wola była tutaj najważniejsza.

Przez 14 lat związku małżeńskiego Jagiełły z Jadwigą i trwającego w tym czasie, bardziej burzliwego, związku Polski z Litwą symbolem dążeń litewskich do utrzymania niezależności stał się stryjeczny brat Jagiełły – książę Witold, walczący w istocie o niezależność dla siebie. Manewrując umiejętnie w stosunkach z Krakowem i Malborkiem, podstawy tej niezależności zdobył. Przegrał jednak latem 1399 r. nad Worskłą wielką bitwę z Tatarami, w której miał nadzieję podporządkować sobie (i Litwie) całą Europę Wschodnią. Związek państwowy Polski i Litwy trzymał się dzięki temu nadal. Polska była potrzebna Litwie, Jagiełło – Witoldowi. Polscy panowie, którzy już od czasu śmierci Kazimierza Wielkiego, ostatniego Piasta na polskim tronie, nauczyli się roli dobrych gospodarzy państwa, nie tylko poddanych, ale uprawnionych do wyboru władzy obywateli, podzielali przekonanie o wielkiej wartości tego związku. Kiedy Jadwiga, naturalny łącznik unii, umarła – a stało się to niemal dokładnie w momencie wielkiej klęski Witolda nad Worskłą, uznano prędko konieczność odnowienia formuły związku polsko-litewskiego na nowych zasadach.

Rozmowy na ten temat były już na pewno prowadzone pod koniec 1400 r., w czasie pobytu Jagiełły pod Grodnem. 18 stycznia 1401 r. w Wilnie król Władysław, polska rada, a także książę Witold i litewscy panowie (biskup wileński, kniaziowie i bojarzy) wystawili dokumenty ustalające warunki odnowionej unii. Potwierdził te warunki jeszcze dokument wystawiony przez polskich dostojników duchownych i świeckich 11 marca tr. w Radomiu. Od tych dwóch miejsc nowa unia nazywana jest wileńsko-radomską. Witold uznawał w niej przyjęcie najwyższej, dożywotniej władzy nad Litwą z nadania króla Władysława. Zobowiązał się dotrzymać wierności królowi, Królestwu Polskiemu i jego mieszkańcom – „stać przy nich bez podstępów i zdrady (*sine dolo et fraude*)”. Po śmierci Witolda władza nad Litwą miała zostać zwrócona bezpośrednio „królowi Władysławowi i jego spadkobiercom oraz Koronie i Królestwu Polskiemu oraz winny być do nich w całości przyłączone i do nich powrócić”. Inkorporacja Litwy została więc jakby odłożona w czasie (jak zauważa Grzegorz Błaszczyk), a zarazem precyzyjnie wpisana w koncepcję Korony Królestwa jako wspólnoty równoprawnych prowincji (co z kolei podkreśla Robert Frost). Część historyków dostrzega w porozumieniu wileńsko-radomskim usankcjonowanie tego podziału i zarazem hierarchii władzy nad Litwą mię-

dzy Olgierdowiczem i Kiejstutowiczem, który symbolicznie odzwierciedli tytuł Jagiełły jako księcia zwierzchniego (*dux supremus*), a Witolda jako wielkiego księcia (*magnus dux*). Strona polska uzna ten ostatni tytuł Witolda dopiero w roku 1411. Na pewno jednak już aktem wileńskim z 1401 r. panowanie Kiejstutowicza nad Litwą zostało traktatowo potwierdzone i mogło być uznane za dożywotnio niezagrożone. Witold nie mógł wszakże przekazać Litwy nikomu ze swego rodu. Zastrzegł jedynie prawo dziedzicznego władania dla swego brata Zygmunta w jego dobrach (m.in. części Nowogródka, Homla, Rzeczycy) – pod warunkiem dochowania wierności królowi, jego spadkobiercom oraz Koronie i Królestwu Polskiemu.

Postanowienia z Wilna i Radomia nie były tylko wewnątrzdynastycznym kompromisem między Jagiełłą i Witoldem. Składały się one także – co ważniejsze – na nową, dalekowzroczą formułę unii polsko-litewskiej. Nie tylko dlatego, że zawierały ściśle zobowiązania do sojuszu obronnego, obligującego obie strony do udzielenia wzajemnej pomocy w przypadku obcego najazdu na jedną z nich. Najważniejsze było wprowadzenie po obu stronach „czynnika społecznego” jako gwaranta trwałości polsko-litewskiego związku politycznego. Włączenie bojarów litewskich do aktu wileńskiego było zasadniczą nowością. Choć już nieco wcześniej – od rokowań litewsko-krzyżackich w 1398 r. – przedstawiciele rodzin bojarskich zaczynają występować w układach dotyczących przyszłości litewskiego państwa, to jednak właśnie w unii wileńskiej pierwszy raz pojawiają się tak licznie, w liczbie 62, i wykraczają poza krąg najwyższych urzędników książęcych. Oprócz nowego biskupa wileńskiego Jakuba Plichty, a także księcia Iwana Holszańskiego z dwoma synami, to właśnie oni stają się po stronie litewskiej głównymi wystawcami jednego z dwóch dokumentów unii (drugi wystawił sam Witold). Są w tym szerokim gronie przedstawiciele najznacześniejszych rodów litewskich: Gasztołdów, Kieżgajłów, Montygyrdowiczów czy protoplasta rodu Radziwiłłów – starosta uszpolski Ościk, od chrztu noszący imię Krystyn. Występowali oni nie tylko w roli biernych świadków ważnego aktu, lecz także zyskiwali w jego postanowieniach czynną rolę polityczną. Unia wileńska zakładała bowiem również bezpotomną śmierć Władysława Jagiełły, będącego personalnym zwornikiem polsko-litewskiego związku, i na taką właśnie ewentualność autorzy unii przewidywali, że Polacy nie wybiorą sobie nowego władcy bez konsultacji z Witoldem (jeśli będzie jeszcze wtedy żył) i z panami litewskimi. Litewscy bojarzy otrzymywali prawo głosu (doradczego) w sprawie wyboru kolejnego króla, pana wspólnej Korony Królestwa. Był to, jak słusznie pisze Robert Frost, pierwszy krok w kierunku wspólnej elekcji, którą wprowadzi kiedyś, po 168 latach, unia lubelska. Warto zauważyć – w ślad za badaczem historii społeczno-politycznej tego okresu, Wojciechem Fałkowskim – że nowe znaczenie miał także skład, który ze strony polskiej potwierdził w Radomiu ustalenia unii wileńskiej. Nie była to już bowiem – tak jak w przypadku wąskiej elity przygotowującej umowę w Krewie – grupka małopolskich panów, ale rzeczywista reprezentacja wszystkich ziem państwa polskiego. W tym 52-osobowym gremium oprócz czterech biskupów znaleźli się wojewodowie, kasztelanowie najważniejszych grodów, a niekiedy także pomniejsi urzędnicy poszczególnych województw (krakowskiego, sandomierskiego, poznańskiego, kaliskiego, sieradzkiego, łęczyckiego, brzeskiego i inowrocławskiego). Ta unia stawała się z obu stron bardziej

reprezentatywna i przez to silniejsza. Symbolem jej siły stanie się triumf grunwaldzki w roku 1410. To był triumf w polu, sukces oręża, dwóch połączonych w unii mieczy. Ale trudniej było ów triumf utrzymać dalej w praktyce. Krzyżacy chcieli jak najszybciej podważyć wynik swej klęski, nawet tak skromnie zakreślony jak w pokoju toruńskim z 1411 r. Pokój ten, przypomnijmy, zaledwie warunkowo tylko, do końca życia Jagiełły i Witolda, zwracał Litwie kluczową dzielnicę żmudzka, wciąż jeszcze pogańską i utrzymaną przez zakon na mocy kilku wcześniejszych aktów pokojowych, do których władców litewskich zmusiła niedawna przewaga militarna Krzyżaków. Pomorza Gdańskiego Polska w ogóle nie odzyskała. Dlaczego? Zakon zawarł bardzo niebezpieczny dla Polski sojusz z królem węgierskim Zygmuntem Luksemburskim, cieszył się też wciąż wielkim prestiżem w całej niemal chrześcijańskiej Europie, zwłaszcza w krajach królestwa niemieckiego. Trzeba było ów sojusz rozmontować, a prestiż umiejętnie podważyć – nie tylko siłą oręża, ale również siłą rozumu, racji, które pomagał uformować Uniwersytet Krakowski, odnowiony przez Jagiełłę i Jadwigę.

Zygmunt Luksemburski był dużym problemem, zwłaszcza od lipca 1411 r., gdy sięgnął wreszcie po koronę króla rzymskiego (czyli niemieckiego), symbolicznego świeckiego reprezentanta Chrystusa na ziemi. Dyplomacja polska umiała go jednak nakłonić do wypowiedzenia sojuszu z zakonem krzyżackim. Pomogło nawiązanie potencjalnie sojuszniczych kontaktów z Wenecją i Habsburgami, z którymi Luksemburczyk był wówczas skłócony. Jagiełło i polska dyplomacja nie myśleli jednak wcale o nowej wojnie przeciw królowi Węgier i zwierzchnikowi Rzeszy dzięki mniej lub bardziej egzotycznym i niepewnym sojuszom. Chcieli raczej przekonać króla rzymskiego do oderwania od zakonu, do zaakceptowania geopolitycznej zmiany po Grunwaldzie. Układy prowadzące do tego celu nie są tutaj przedmiotem naszego zainteresowania. Interesuje nas natomiast ich rezultat. 15 marca 1412 r. podczas spotkania w Lubowli na Spiszu Władysław Jagiełło i Zygmunt zawarli przymierze. Król węgierski i rzymski tego samego dnia wysłał do wielkiego mistrza zakonu Henryka von Plauen oficjalny list nakazujący mu zaprzestanie wszelkich najazdów na Polskę i Litwę. W czerwcu tegoż roku na wielkim zjeździe monarchów i dostojników w Budzie Władysław Jagiełło odzyskał polskie insygnia koronacyjne, które zostały wywiezione z Krakowa nad Dunaj w czasach Ludwika Węgierskiego. Fetowany teraz jako „brat” i najważniejszy sojusznik króla rzymskiego, a nie pokazywany palcem jako jakiś „dzikus” czy „poganin”, zgodził się na oddanie sporu z zakonem w ręce swego gospodarza. Król węgierski potwierdził warunki pokoju toruńskiego i skierował swojego komisarza Benedykta Makraia do rozstrzygnięcia konkretnych kwestii granicznych.

I tu dochodzimy do jednego z przełomowych, a całkowicie niemal zapomnianych punktów w historii polskiego wkładu w ideę (i praktykę) wolności między narodami. Gdzie ten punkt odnajdujemy? Właśnie w postępowaniu prawniczym przed wysłaniem króla rzymskiego Benedyktem Makraiem. Pozycja międzynarodowa, a ściślej dyplomatyczna Polski poprawiła się na tyle, że wobec misji Makraia polski zespół negocjatorów (z doktorem praw Andrzejem Łaskarzem na czele) wystąpił po raz pierwszy z dobrze już przygotowanym prawniczo żądaniem oddania przez zakon Pomorza, ziemi chełmińskiej i michałowskiej. Pokazał także najwyższy kunszt dyplomatyczny

-prawniczy w sporze o Żmudź. Strona krzyżacka przygotowała wszystkie dokumenty, którymi dysponowała, by przekonać występującego w imieniu króla rzymskiego sędziego Benedykta Makraia, że Żmudź została nabyta przez zakon jak najbardziej legalnie. W tym były oczywiście akty prawne wystawione przez Witolda (umowa z wyspy salińskiej z 1398 r.), a potem Jagiełłę i Witolda (pokój w Raciążu – 1404 r.), w których władcy rzekali się praw do tej ziemi.

Podziw budzi wyrafinowanie polsko-litewskiej odpowiedzi. Przedstawił ją na rozprawie w Kownie w styczniu 1413 r. Mikołaj Cebulka herbu Cielepała z Czechowa (dziś dzielnica Lublina), kanonik sandomierski, służący Witoldowi jako sekretarz (*notarius ducalis*). Przed Makraiem wystąpił jako reprezentant praw Zofii, córki Witolda (od 21 już lat wielkiej księżny moskiewskiej) oraz wszystkich wolnych Żmudzinów. Obydwa tytuły do jego wystąpienia były prawdziwie rewolucyjne. W imieniu praw żeńskiej spadkobierczyni wielkiego księcia Litwy Cebulka stwierdził najpierw, że nawet Witold nie mógł bez jej zgody wyrzec się ziemi, którą po nim miała odziedziczyć! Umowy z Salina i Raciąża są więc w tym sensie nieważne. Identyczny argument powtórzył wobec Makraia nieco później (w kwietniu na spotkaniu w Inowrocławiu) magister Mikołaj Wiśliczka – w roli prawnego opiekuna czteroletniej Jadwigi, dziedziczki Władysława Jagiełły, jedynej jego córki (z drugiego małżeństwa z Anną Cylejską).

Wspomniany Cebulka – tęga musiała to być głowa – wysunął jeszcze jeden, ważniejszy argument przeciw panowaniu krzyżackiemu nad Żmudzią – wyrzeczenie się posiadłości wymaga zgody tych, których dotyczy, zgodnie z zasadami prawa kanonicznego: *quod omnes tangit, ab omnes debet approbari* – „co wszystkich dotyczy, przez wszystkich powinno być zaaprobowane”. To zasada, która reprezentacjom stanowym, wolnym obywatelom torowała drogę do głosu w sprawach publicznych, drogę do parlamentu. Cebulka, nawiązując z pewnością do argumentów, które rozwinął już tak świetnie Stanisław ze Skarbimierza, nie tylko przywołał tę zasadę, ale ją zastosował do pogan. Żmudzini, choć byli poganami, mieli prawo do posiadania swojej ziemi. Zarazem – jako wolni ludzie (panowie owej ziemi, jej „współdziedzice”, jak to określa Cebulka) – mieli prawo wyrazić zgodę lub nie na przekazanie tej ziemi innemu właścicielowi. A nie wyrazili jej ani w sposób bezpośredni, ani pośredni...

Trzy miesiące później ta sama koncepcja została przywołana w Inowrocławiu przez reprezentanta strony polskiej magistra Wiśliczkę – Krzyżacy nie mają prawa bez zgody Żmudzinów dzierżyć ich ziemi, nawet jeśli Witold dał im takie tytuły. Wiśliczka dodał jednak do tego odmienny, a właściwie sprzeczny z tym (ale brzemienny w skutki, jak zobaczymy za chwilę) argument – unia w Krewie oznaczała inkorporację całej Litwy, w tym Żmudzi, do Polski i król Władysław zaprzysiągł utrzymać całość tych ziem przy polskiej Koronie. Nie wolno mu było wyrzec się żadnej części. Doktor Andrzej Łaskarzyc, trzeci prokurator (czyli pełnomocnik) sprawy polsko-litewskiej przed sędzią – wysłannikiem króla rzymskiego – dorzucił jeszcze jeden argument – wcześniejsze zrzeczenie się Żmudzi przez Jagiełłę i Witolda jest nieważne, zostało bowiem dokonane pod przymusem, w celu uniknięcia dalszego przelewu krwi.

Pomnik należy się księdzu Mikołajowi Cebulce. Mógłby stanąć w Radzynie Podlaskim, którego teren (miasta jeszcze wtedy nie było, tylko pusta ziemia) nada

Mikołajowi w roku 1415 król Władysław Jagiełło. To byłoby dobre miejsce, na styku Polski, Litwy i Białej Rusi, złączonych przez tego króla i tak zmyślnie bronionych razem przez tego adwokata. Ale za co pomnik? Dlaczego w ogóle zatrzymujemy się przy szczegółach procesu sprzed ponad 600 lat i nazwiskach tak słabo w naszej zbiorowej pamięci zapisanych? Cóż, wydaje się, że w słowach wypowiedzianych przez Cebulkę przed sędzią króla rzymskiego znajdujemy jeden z punktów zwrotnych polskiej, wschodnioeuropejskiej, europejskiej historii wolności i zawarowanej prawem głosu godności. Zwróćmy uwagę najpierw na kwestię pierwszą – praw kobiet do dziedziczenia tytułów politycznego zwierzchnictwa nad ziemiami czy księstwami. W przypadku litewskiego obyczaju prawnego takiej tradycji w ogóle nie było. To był oczywiście adwokacki kruczek, wprowadzony przez sprytnego Cebulkę, by porazić krzyżackich prokuratorów. Ale można w tym dostrzec także przeniesienie na grunt litewski znanej już w Polsce zasady prawa kobiet do dziedziczenia nawet korony królewskiej... Cebulka, a za nim Wiśliczka – zapomniani pionierzy ruchu sufrażystek, prekursorzy praw kobiet, prawa do wypowiedzania się o ich własności? W każdym razie, przywołując po raz pierwszy ów argument w kontekście sporu z Krzyżakami, zasługują na pewno na zauważenie.

Już jednak na pewno nie tylko trikiem prawnym, ale prawdziwą nowością było wysunięcie przez skromnego kanonika sandomierskiego hasła prawa narodu (wolnych obywateli albo najostrożniej mówiąc – reprezentacji danej ziemi) do decydowania o sobie lub bodaj współdecydowania. Tym bardziej gdy była mowa o narodzie jeszcze niechrześcijańskim, o pogańskich Żmudzinach i ich prawie do wolnego dysponowania swoją ziemią jako jej współdziedzice. Mikołaj Cebulka – to brzmi może mało efektownie, nie aż tak bardzo europejsko w uszach pełnych kompleksów mieszkańców naszej „peryferii”. Ale to właśnie on, człowiek z tej „peryferii”, ową fundamentalną zasadę prawa wolnych ludów do wolnego decydowania o sobie, przygotowaną gdzieś w murach Uniwersytetu Krakowskiego przez może bardziej uczonych od niego profesorów (Stanisława ze Skarbimierza, Pawła Włodkowica), ogłosił pierwszy – już nie z ambony, ale na forum europejskim, w międzynarodowym sporze prawnym. Nikt przed nim w Europie tego nie uczynił. Co ważniejsze, nie były to tylko teoretyczne zabawy. Ich skutkiem nie była jedynie chwilowa irytacja prawników reprezentujących zakon krzyżacki, którzy – jak to ujął Prochaska: „niekiedy wprost zapominali się, że stoją wobec sądu, zaprzeczając, jakoby Żmudzini jakowe granice kraju w ogóle mieć mogli, gdyż z powodu przeniewierstwa powinni być wygnani na krańce świata!”. Skutkiem kwestii postawionych przez polsko-litewskich dyplomatów nie był też tylko rosnący podziw Benedykta Makraia dla „tych okrzyczanych na Zachodzie barbarzyńców”, którzy potrafili tak biegle użyć najbardziej subtelnych nowości łacińskiego prawa, a nawet sami tworzyć jego precedensy na poparcie swoich racji. Skutkiem owych wysuniętych przed nim kwestii była unia horodelska. Argumenty przedstawione na początku 1413 r. w sporze z państwem zakonnym o prawa do Żmudzi odsłoniły konieczność przeformułowania relacji prawnych między Polską i Litwą, tak by wolni Litwini, reprezentacja ich ziemi, mogli zabrać głos we własnej sprawie, w sprawie swojego państwa. Tak właśnie, jak o to występowali dla Żmudzinów Cebulka, a za nim Wiśliczka. Jak to pogodzić z zasadą inkorporacji, na którą powoływał się ten drugi? Genialną, bez żadnej przesady, odpowiedzią na te pyta-

nia był akt nowej unii, przygotowany równoległe z rozmowami z Makraiem, a ogłoszony 2 października 1413 r. To było już przejście od dyplomatycznej szermierki, od teorii prawa narodów do praktyki trwale zmieniającej rzeczywistość polityczną.

Powinniśmy pamiętać i z (za)dumą powtarzać słowa otwierające akt unii horodelskiej: „Wiadomo wszystkim, że nie dostąpi zbawienia, kto nie będzie wspierany tajemnicą miłości (*misterio caritatis*), która nie działa opacznie, lecz promieniąc własną dobrocią, zwaśnionych godzi, pokłóconych łączy, odmienia nienawiści, uśmierza gniewy i daje wszystkim pokarm pokoju, rozproszone zbiera, znękanę krzepi, szorstkie wyrównuje, krzywe prostuje, wszystkie cnoty wspomaga, nikogo nie krzywdzi, wszystko miłuje, tak że ktokolwiek w jej ramiona się ucieka, znajdzie bezpieczeństwo i nie będzie się obawiał niczyjej napaści. Przez nią prawa się tworzą, królestwa rządzą, miasta porządkują i stan rzeczypospolitej (*status reipublicae*) do najlepszego końca dochodzi; ona wśród wszystkich cnót pierwsze miejsce zajmuje, a kto nią wzgardzi, wszelkie dobro utraci”.

Misterium caritatis (tajemnica miłości) – który związek polityczny w dziejach Europy wprowadzał takie rozważania? I który okazał się trwalszy od tego, na czterysta lat wiążącego unią Polskę z Litwą – z krajami europejskiego Wschodu? Jaka szkoda, że słów tego pięknego aktu nie uczy się już w polskich szkołach, że nie uczy się go w szkołach Unii Europejskiej – głęboka duchowa preambuła lepiej może by rokowała od technokratycznych formułek. Ktoś przypomni jednak, i słusznie, że unia w Horodlu, po tak pięknym wstępie do aktu wystawionego przez szlachtę polską, w innym akcie, wystawionym przez króla Władysława i wielkiego księcia Witolda, przypominała surowo „wcielenie, wkorzenie, przywłaszczenie, złączenie, przydanie, sprzymierzenie i na wieki złączenie” Litwy do Polski. A więc nie związek równoprawny? Miłość i podporządkowanie, zgoda i „przywłaszczenie”. Gdzie tu prawo głosu wolnego narodu? Wspominając po wiekach Horodło, zwłaszcza w dobie wojujących nacjonalizmów, w pięćsetną rocznicę tego aktu, część litewskich historyków wybierała z goryczą słowa o „wcieleniu, wkorzeniu, przywłaszczeniu” jako istotę całej unii, zatruty owoc polskiej nienasyconej żądzy panowania, polskiego imperializmu. Strona polska szczyliła się szlachetną i bezinteresowną formułą „tajemnicy miłości” owej unii. By unię horodelską i jej rzeczywiście przełomowe znaczenie zrozumieć, trzeba zrezygnować z takich uproszczeń i wrócić do historycznego kontekstu jej powstania.

Jak słusznie przypomina część badaczy (w ślad za słowami aktu króla i wielkiego księcia), niezwykle ważne było w tej unii przypomnienie wciąż groźnego niebezpieczeństwa „wrogich najazdów i zdrad Krzyżaków i ich sprzymierzeńców oraz innych nieprzyjaciół, którzy ziemie Litwy i Królestwo Polskie starają się zniszczyć i knują ich zagładę”. Wielki mistrz von Plauen nie złożył przecież dyplomatycznego oręża. Rozdrażniony niekorzystnymi orzeczeniami sędziego-rozjemcy Makraia (ten miał nawet w gniewie rzucić pod adresem posłów krzyżackich znamienne słowa: „Niechaj królowie i książęta posiadają ziemię, Zakonowi wystarczyć powinien kawałek chleba...”), był już gotów do protestu międzynarodowego. Nie chciał się pogodzić nawet z warunkami pokoju toruńskiego. To niebezpieczeństwo wymagało dalszego zacieśnienia związku polsko-litewskiego, a wspólna walka w ostatnich latach na pewno także bardzo temu sprzyjała. Przypomnienie w nowym, oficjalnym akcie ustalonej przecież już w pierw-

szej unii, w umowie z Krewa, zasady inkorporacji Litwy do Polski było znakomitym narzędziem dyplomatycznym – skoro Litwa (i Żmudź) są częścią chrześcijańskiej od dawna Polski, od wieków uznawanej za uczestniczkę europejskiej *Christianitas* – to jak można zwoływać krucjatę pod hasłem walki z pogaństwem litewskim czy żmudzkiem? Nie ma formalnie Litwy, jest tylko Polska, która już od ćwierć wieku zajmuje się pokojowo nawracaniem „swoich wewnętrznych”, rzec można, pogan. I to z większymi od zakonu sukcesami. Taki był podstawowy sens rzeczywiście mocno zaakcentowanej w akcie Jagiełły i Witolda zasady inkorporacji Litwy do Polski. Dyktowała go taktyka międzynarodowej rozgrywki dyplomatycznej.

Ale nie tylko. Wspomnieliśmy, że akt ten wystawili wspólnie król Władysław i wielki książę Witold. Po raz pierwszy występowali na wspólnym dokumencie, na którym Witold użył tytułu „wielki książę” (Jagiełło zachowywał tytuł „księcia zwierzchniego”). Ostatnie lata były czasem ogromnego wzrostu prestiżu Witolda. Nie tylko wśród Litwinów, ale i wśród jego licznych polskich współpracowników, poddanych Jagiełły. Witold błyszczał nie tylko na obrazie Matejki, ale przede wszystkim w historycznej rzeczywistości czasów Grunwaldu. Trzeba było na nowo sformułować zakres jego władzy, inaczej określić jego rangę, wyżej, niż to wynikało z formuły unii wileńsko-radomskiej sprzed dwunastu lat. Tamta unia gwarantowała Witoldowi dożywotnią władzę na Litwie, faktycznie w roli lennika Władysława Jagiełły i Królestwa Polskiego. Witold już kilkakrotnie przed 1413 r. użył tytułu wielkiego księcia. Unia horodelska utrwałała i legalizowała niejako ten tytuł, umacniając tym samym faktycznie państwowość litewską. Witold nadal nie miał jednak męskiego potomka. Jagiełło natomiast doczekał się ze związku z Anną Cylejską córki, która wiosną 1413 r. na zjeździe w Jedlni została uznana za dziedziczkę Królestwa. Skoro w procesie z Krzyżakami prokuratorzy Witolda i Jagiełły upominali się o prawa córek swoich panów, trzeba było i w stosunkach polsko-litewskich rozwiązać jakoś problem przyszłego spadkobrania wielkiego dziedzictwa. Polska miała dziedziczkę, a litewskie prawo zwyczajowe nie zakładało możliwości objęcia władzy przez kobietę. Nowa sytuacja oznaczała, że po śmierci Jagiełły i Witolda może zabraknąć personalnego spoiwa unii. Dlatego w 12. punkcie dokumentu wystawionego przez Jagiełłę i Witolda w Horodle pojawiła się następująca regulacja: „panowie i szlachta litewscy nikogo innego nie będą mieli ani nie wybiorą na wielkiego księcia i pana Litwy, lecz tylko tego, kogo król polski lub jego następcy z radą prałatów i panów polskich i litewskich uznają za godnego wyboru”. Gdyby i w Polsce zabrakło legalnego spadkobiercy (królowna Jadwiga miała dopiero pięć lat i nie musiała dożyć wieku „sprawnego”), wtedy także polscy panowie „nie powinni sobie obierać króla i pana bez wiedzy i rady naszej, to jest wielkiego księcia Aleksandra [Witolda] oraz panów i szlachty ziem rzeczonych litewskich”. A więc: w przypadku opróżnienia stolca wielkoksiążęcego lub tronu królewskiego **obie** strony polsko-litewskiego związku otrzymywały prawo udziału w **elekcji**. To było rzeczywiste zagwarantowanie prawa głosu reprezentacji narodowej – „panom i szlachcie” – nie tylko Polski, lecz także Litwy.

Dokument został wystawiony w dwóch egzemplarzach, jak w traktacie między państwowym – jeden dla Litwinów, drugi dla Polaków (niestety, zachował się tylko ten drugi, w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie; egzemplarz „litewski” zaginęł w zawie-

rusze II wojny światowej). Zaznaczona w nim „inkorporacja” została dosłownie zasypa-
na idącymi zaraz za nią zmiękcżającymi i zmieniającymi jej sens określeniami, takimi
jak „połączenie”, „zjednoczenie”, „sprzymierzenie za jednomyślną zgodą naszą i braci
naszych oraz za wolą i przyzwoleniem wszystkich panów, szlachty, wielmożów i boja-
rów tejże ziemi litewskiej”. Tylko ślepy na jedno oko nacjonalista mógł w XIX czy XX w.
odczytać (z furii czy z pychą) wyłącznie hasło inkorporacji i nie dostrzec tego subtelnego,
wewnętrznego i zewnętrznego kontekstu, który czynił w istocie z aktu horodelskiego
dzieło finezyjnej koncepcji umocnienia odrębności i podniesienia prestiżu Wielkiego
Księstwa Litewskiego przy jednoczesnym zapewnieniu mu lepszej ochrony na arenie
międzynarodowej i otwarciu perspektywy dalszego zbliżenia z Polską: nie przymuso-
wego, ale dobrowolnego.

Akt królewsko-wielkksiążęcy nadał wszystkim panom, szlachcie i bojarom Litwy
(ale tylko katolickim) te prawa, którymi cieszyli się panowie szlachta w Królestwie
Polskim, w tym najważniejsze – całkowitą swobodę dysponowania swoim majątkiem.
Tworzył także „na wieczne czasy godności, dygnitarstwa i urzędy wedle tych, które są
w Królestwie Polskim” – od wojewodów i kasztelanów wileńskich oraz trockich poczy-
nając. Wreszcie, król i wielki książę podkreślali, że „panowie i szlachta Królestwa Polskiego
i ziem Litwy będą odprawiali zjazdy i sejmy (*conventiones et parlamenta*), ilekroć tego
zajdzie potrzeba w Lublinie albo w Parczewie lub w innych miejscach dogodnych za
zgodą i wolą naszą dla większego dobra i pożytku Królestwa Polskiego i rzeczonych ziem
litewskich”. Królestwo Polskie i Litwa są więc osobno – ale mają się spotykać i łączyć
na wspólnych obradach dla wspólnego dobra. Po unii wileńsko-radomskiej właśnie
w Horodle w 1413 r. został poczyniony drugi wielki krok w stronę jednego parlamentu,
który ustanowiony zostanie ostatecznie w Lublinie w roku 1569.

Żeby jednak istotnie zbliżyć status prawny oraz system administracyjny obu części
polsko-litewskiej wspólnoty i stworzyć podstawę do równoprawnego spotkania obywa-
teli obu jej części, autorzy unii horodelskiej zaplanowali jeszcze rzecz bez precedensu
w całej europejskiej praktyce prawnej – adopcję herbową, czyli przyjęcie 47 rodów bojar-
stwa litewskiego do tyłuż rodów polskich. Miała to być już nie tylko unia dynastyczna,
administracyjna, ale unia dwóch politycznych narodów. Nie asymilacja, w żadnym
razie (żadnych „asymilatorów” w XV w. nie było), ale zbliżenie społeczeństw, a ściślej
ich elit, na gruncie prawa, obyczajów i w końcu rodowej (herbowej) wspólnoty. To był cel,
który wyrażały dwa akty wystawione na zjeździe w Horodle – akt szlachty Królestwa
Polskiego dla panów litewskich oraz odpowiedź bojarów litewskich na ów dokument (akt
polski, przekazany Litwinom, zaginął niestety w czasie II wojny światowej, w Bibliotece
Czartoryskich zachował się natomiast oryginał litewskiego dokumentu). To właśnie do
deklaracji szlachty polskiej wprowadzały przytoczone wyżej słowa o „tajemnicy miło-
ści”. Prawnie nic więcej nie da się pod tym hasłem uczynić, aniżeli przyjąć do rodzi-
ny, do „domu, rodu, herbu i klejnotu”. I tak właśnie postanowiono: do rodu Leliwitów
(z którego wywodził się najpotężniejszy w Małopolsce Jan z Tarnowa) wszedł dom
wojewody wileńskiego Moniwida; do Zadorów (z marszałkiem Zbigniewem z Brzezia)
– dom Jawnuty Wolimuntowicza, wojewody trockiego; do Rawiczów (z kasztelanem
krakowskim Krystynem z Ostrowa) – dom Michała Minigajły, kasztelana wileńskiego;

do Lisów – dom Sunigajły, kasztelana trockiego; do herbu nowego arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Trąby – dom Krystyna Ościka, z którego wyjdzie ród Radziwiłłów, przyjmujący ten herb właśnie – Trąby. I tak dalej, i tak dalej – dokument krótko wymienia dalsze „pary”: „Nałęcz z Koczanem, Łodzian z Miczusem, Jelita z Gerdudem, Korczak z Czupą”... aż po „Gerałta z Surgutem”. Jakby jedno wielkie weselisko.

Oczywiście nie ma co nad miarę idealizować tego horodelskiego ślubu. Wszyscy się od razu kochać nie musieli. Związki między niektórymi rodami były już wcześniej zadziergnięte. Inne pozostaną zawsze luźne. Ale po latach wspólnych bojów, zwłaszcza po wspólnym wielkim zwycięstwie grunwaldzkim, ten zwielokrotniony „mariaż” Polaków z Litwinami nie był na pewno jedynie pergaminowy. Dotyczył, tak jak nadane jednocześnie prawa i wolności, tylko katolików. To prawda. Jednak prawosławni upomną się wkrótce o swoje. Logika wolnego głosu wolność i własność ubezpieczającego ich wciągnie, jak to wkrótce zobaczymy. Ta właśnie logika, której brak zarzucił Mikołaj Cebulka krzyżackiemu panowaniu nad Żmudzią. W unii polsko-litewskiej już w Wilnie w roku 1401 po raz pierwszy, choć jeszcze bardzo skromnie, wystąpili „społeczni” przedstawiciele strony litewskiej. Miejsce bojarów uwydatniło się jednak tymczasem w samej strukturze wewnętrznej państwa litewskiego, jak to najwnikliwiej przedstawia krakowska badaczka tego zjawiska Lidia Korczak. W 1413 r. występują już oni, obok Witolda, jako istotna reprezentacja swojej wielkiej ziemi. Wielki książę, choć ich sobie jeszcze dobiera, to już nie mówi za nich. Horodelskie akty pomogą im w kształtowaniu własnej tradycji politycznej podmiotowości.

Przedstawiwszy niezwykle ustalenia zjazdu 2 października 1413 r., musimy w końcu zapytać, jak do niego doszło. Kto mógł wymyślić tak zniuansowaną, tak zbalansowaną koncepcję podkreślającą zarazem wyodrębnienie Wielkiego Księstwa i jego jedność z Królestwem Polskim, koncepcję prowadzącą ku jedności narodu politycznego: polsko-litewskiego? Na pewno nie był to sam Mikołaj Cebulka. Mimo swoich zasług był na to po prostu za mały. Oczywiście największy splendor spada na tych, którzy mieli moc decydowania, a więc na Władysława Jagiełłę i Aleksandra Witolda. Przekonującą wizję drogi do Horodła przedstawiła ostatnio warszawska mediewistka Maria Koczerska. Powtórzmy więc za nią, że najpewniej już w 1412 r., w czasie pobytu w Budzie, król Władysław zrozumiał potrzebę nowego ułożenia zasad unii, zaspokajającego ambicje Witolda i uwzględniającego jednocześnie aktualną sytuację geopolityczną. Być może już w czasie zjazdu z Witoldem nad Bugiem pod Hrubieszowem, w końcu września 1412 r., a następnie w listopadzie na zjeździe z panami polskimi w Niepołomicach król mógł sondować najsmielszą ideę – adopcji herbowej. Po uzyskaniu zgody powiadomił Witolda i ten wskazał pół setki rodów bojarskich z Litwy, by rozpocząć dla nich przygotowanie pieczęci z godłami heraldycznymi. Do tego trzeba było kilku złotników. Cały ten czas urzędnicy kancelarii królewskiej (i wielkoksiążęcej także) pracowali już nad połączeniem wszystkich elementów nowej politycznej układanki, którą stworzyć miała unia. Za właściwego autora samej myśli o adopcji herbowej wspomniana autorka uważa Mikołaja Trąbę. Niedawny podkanclerzy, jeden z najbliższych współpracowników Jagiełły, uczestnik przedgrunwaldzkiej rady wojennej, został w 1410 r. podniesiony najpierw do godności arcybiskupa halickiego, a po śmierci Mikołaja Kurowskiego został

w roku 1412 arcybiskupem gnieźnieńskim. Osiągnął te najwyższe zaszczyty, choć był nieprawego pochodzenia (przypomnijmy: naturalnym jego ojcem był ksiądz, scholastyk sandomierski, Jakub, ale adoptował go legalny mąż jego matki, sołtys z Okaliny, Wilhelm herbu Trąby). Awanse Mikołaja na biskupie stolicy wymagały specjalnej dyspensy papiejskiej. Sam uważał się za szlachcica, a zarazem – jak świadczą jego pieczęcie, unikające herbu Trąby – czuł dotkliwie, że nie należy w pełni do herbowego rodu. Rozumiał więc lepiej niż inni polscy możnowładcy, jak wyższej warstwie litewskich panów „musiał doskwierać w kontaktach z rycerstwem zachodnim brak w pełni wykształconych herbów”. Dopiero uzyskane w Horodle „emblematy przynależności do stanu szlacheckiego umożliwiały bojarom litewskim traktowanie ich przez rycerstwo zachodnioeuropejskie zgodnie z ich wysokim statusem w Wielkim Księstwie”. Autorka tego wywodu, profesor Koczarska, konkluduje: „adopcja bojarów litewskich do polskich rodów stanowiła drogę do okcydentalizacji Wielkiego Księstwa”, której kierunek wskazały już chrzest Jagiełły w obrzędku łacińskim i odrzucenie przezeń perspektywy chrztu w obrzędku prawosławnym.

I na ten aspekt znaczenia Horodła także warto zwrócić uwagę. Szcocki historyk unii Robert Frost z wielkim wyczuciem kieruje jednak nasz wzrok na jeszcze jeden drobny, ale jakże znamienny szczegół. Oto w cytowanej przez nas wyżej arendze (czyli wstępie) do dokumentu adopcyjnego wystawionego przez polskich panów pojawia się pojęcie „rzeczypospolitej”. To ona ma kwitnąć pod wpływem miłości – miłości wzajemnej swoich współobywateli, można by dodać w świetle tego dokumentu. Droga przez polską kulturę polityczną nie szła tylko, najogólniej rzecz biorąc, w stronę Zachodu (jak to od końca XVIII w. dopiero nazywamy). Zachód niejedno ma imię. Droga przez Horodło prowadziła w stronę pewnego, kształtującego się już od dłuższego czasu w Polsce wariantu europejskiej, łacińskiej tradycji. To był „wariant” republikańsko-obywatelski, niekoniecznie wybierany w innych księstwach i królestwach, położonych dalej na zachód od Krakowa. To był wariant, w którym ważne są nie tylko herby, ale przede wszystkim zapisane w dokumencie Jagiełły i Witolda zaproszenie do wspólnych sejmów, do udziału w elekcji władcy, do odpowiedzialnego zabierania głosu w sprawie swojej politycznej przyszłości. W tym właśnie kierunku zaczyna być „wciągany” tworzący się polityczny naród Wielkiego Księstwa. A z niego wyprowadzona będzie w kolejnych dekadach i wiekach tradycja polityczna (w każdym razie ważna jej część) narodów-spadkobierców Wielkiego Księstwa: Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. To jest tradycja rzeczypospolitej, obywatelstwa, dobra wspólnego – tradycja, którą w stosunkach Królestwa Polskiego i Litwy otwarło i najsurowiej połączyło właśnie Horodło, od niespełna 50 zaproszonych rodzin bojarskich poczynając.

Mikołaj Trąba odegrał istotną rolę w przygotowaniu tego splotu praktycznych koncepcji i wielkich idei. Pewnie także kanclerz Wojciech Jastrzębiec i królewski *secretus notarius*, czyli zaufany sekretarz – Stanisław Ciołek. Ten wykształcony w Pradze mistrz stylistyki łacińskiej, później głośny (a nawet skandalizujący) poeta, był na pewno najważniejszym redaktorem dokumentu monarszego wystawionego w Horodle. A za nimi stoi wysiłek intelektualny środowiska uniwersyteckich prawników z Krakowa, pewnie także pomoc takich urzędników – doradców wielkiego księcia – jak Cebulka. Kiedy

wspominamy tę datę, 2 października 1413 r., zatrzymujemy się przy tych wszystkich postaciach z szacunkiem. Tak jak powinniśmy z szacunkiem wspomnieć miejsce wielkiego polsko-litewskiego zjazdu, na którym owa unia się dokonała.

Horodło, dziś skromna wieś nad Bugiem, na samej granicy Polski z Ukrainą, przez kilka wieków miasto założone na prawie magdeburskim, a w czasach Jagiełły także pograniczny zamek, nadany przez króla Siemowitowi IV mazowieckiemu, było miejscem spotkań polsko-litewskich. Jak to ładnie ujął autor hasła poświęconego Horodłu w *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego* – to, co się tutaj w roku 1413 wydarzyło, to „jedyny w dziejach przykład dobrowolnego zjednoczenia nieprzyjanych przez wieki ludów, któremu historia jeszcze ściślejzego miała udzielić spoju”. Bo spotkali się tutaj wyjątkowi ludzie, nauczeni już kompromisów między sobą – i spotkali się w wyjątkowych okolicznościach i w wyjątkowym czasie, który tej unii sprzyjał.

Ta wolna unia pokazała, najwspanialej, jak to możliwe, że Zachód nie ma prawa gardzić wschodem Europy ani w imię swej tak czy inaczej uzasadnianej wyższości podbijając czy podporządkowywać sobie jej ludów. Po raz pierwszy argumenty z tymi zagadnieniami zostały zebrane właśnie w związku ze sporem Polski i Litwy z zakonem krzyżackim. Zebrał je najpierw kapelan królowej Jadwigi i króla Władysława Jagiełły, doktor praw po uniwersytecie praskim Stanisław ze Skarbimierza (ok. 1360–1431), jeden z odnowicieli Uniwersytetu Krakowskiego i pierwszy jego rektor po odnowieniu uczelni w roku 1400. Autor serii 113 homilii poświęconych zagadnieniom mądrości Bożej i ludzkiej zajął się w kilku z nich sprawami właściwego funkcjonowania państwa. W jednym z kazań, a właściwie traktacie o wojnie sprawiedliwej i niesprawiedliwej (*Sermo de bello iusto et iniusto*), powstałym zapewne w 1409 lub 1410 r., Stanisław ze Skarbimierza przedstawił oryginalny wywód, który streszczają najdobitniej te słowa: „Wojny należą do dziedziny prawa narodów i o ile się zgadzają ze sprawiedliwością, Kościół uznaje je, nic więc nie przeszkadza, żeby chrześcijanie, aby zadość się stało sprawiedliwości, która jest najwspanialszą z cnót, mogli wezwać pomocy pogan, jeśli jej skądinąd nie mają”. Krakowski uczony nie tylko uzasadniał w ten sposób prawo Królestwa Polskiego do braterstwa broni z pogańskimi wciąż jeszcze Żmudzinami czy z Litwinami przedstawianymi w ten sam sposób przez propagandę Zakonu. Szedł dalej w swej argumentacji: „Jeżeli poganie są bez sprawiedliwej przyczyny najeżdżani przez chrześcijan, sprawiedliwie przeciw nim wojują w celu odzyskania swych ziem czy ojczyzny”. Powołując się na autorytet papieża Innocentego IV, ksiądz Stanisław podsumowywał swoje wywody następująco: „Państwa i posiadłości oraz władza godziwie, bez grzechu, mogą być przy niewiernych, dlatego że – jak powiada [Innocenty] – stworzone zostały nie tylko dla wiernych, ale dla każdej rozumnej istoty. [...] Nie wolno papieżowi czy wiernym zabierać niewiernym państw czy władzy, ponieważ posiadają ją bez grzechu i prawnie”. Polska doktryna prawa narodów mogła się narodzić tylko w owej szczególnej koincydencji prądów koncyliarystycznych, ograniczających uznanie wszechwładzy papieża, oraz z potrzeby odpowiedzi na nadużycie przez zakon zasady, iż szerzenie chrześcijaństwa usprawiedliwia zabór ziemi i państw niewiernym, to jest niechrześcijanom. Narodzić się mogła owa doktryna w Krakowie w latach 1409–1410 także dlatego, że był już tutaj zdolny do oryginalnej refleksji ośrodek intelektualny. Z niego wyszła ta prawdziwie rewolucyjna,

nowa doktryna prawa narodów. Już wkrótce na soborze w Konstancji rozwinie ją Paweł Włodkowiec – znakomity uczeń Stanisława ze Skarbimierza.

Sobór ten, uroczyście otwarty 16 listopada 1414 r., obradował przez trzy i pół roku, do 22 kwietnia 1418 r. Skupił w czasie swych obrad 29 kardynałów, blisko 200 arcybiskupów i biskupów, ponad stu opatów, blisko 400 mistrzów uniwersyteckich, ponad 100 książąt i hrabiów, tysiące pomniejszego rycerstwa i sług. Doprowadził ostatecznie do zakończenia schizmy, która dzieliła w poprzednich 40 latach Kościół łaciński między trzech rywalizujących papieży. Ważnym i tragicznym momentem soboru w Konstancji był wytoczony na nim proces przeciwko Janowi Husowi i śmierć praskiego teologa na stosie. Nie tylko te dwie sprawy były istotnymi tematami wielkiego soboru. Musimy spojrzeć na to wyjątkowe zgromadzenie jako na forum walki o prestiż, o honor, można powiedzieć, przedstawiających się na nim „narodów”. Inaczej niż wcześniejsze sobory ten nie opierał się w swej strukturze wewnętrznej na podziale na prowincje kościelne, ale na *nationes* właśnie. Podział wedle tej kategorii, znanej już od dawna na uniwersytetach, miał pomóc przełamać przewagę delegatów z Italii, popierających „pizańskiego” papieża Jana XXIII. Owe *nationes* to nie były naturalnie jeszcze narody w dzisiejszym czy XIX-wiecznym znaczeniu, ale przyjęcie zasady głosowania „nacjami” nad postanowieniami soboru było na pewno ważnym momentem w historii europejskich tożsamości narodowych. Wyróżniono więc cztery nacje: *Italica*, *Gallicana*, *Anglicana* i *Germanica*, do których dołączona zostanie później jeszcze piąta – *Hispanica*. Poddani króla Francji z *nationis Gallicanae* byli żywo zainteresowani zwalczaniem *nationis Anglicanae* (przypomnijmy: to jest moment wielkiej bitwy pod Azincourt w wojnie stuletniej). Kiedy rzymski król Zygmunt, uważający się za ponad-„narodowego”, świeckiego zwierzchnika chrześcijaństwa, chciał wziąć udział w obradach swej *nationis*, francuscy prałci odmówili prowadzenia obrad w obecności obcego, przedstawiciela innej „nacji”. Jak zauważa Caspar Hirschi, badacz fenomenu późnośredniowiecznego „nacjonalizmu”, nawet król rzymski Zygmunt musiał przyjąć do wiadomości, że reprezentuje tylko *nationem Germanicam*. W owej *natione*, oprócz samych Niemców, spotykali się jeszcze Skandynawowie, Szkoci, Czesi, Węgrzy i Polacy. I tu nie brakowało wewnętrznych napięć. Ojcowie soboru odnotowali, że poza pięcioma głównymi, wyróżnionymi dla celów proceduralnych „narodami” (*nationes principales*), jest także znacznie większa liczba aspirujących do odrębności – przez wspólne pochodzenie, język i zamieszkiwane terytorium – *nationes particulares* („poszczególnych narodów”). Doliczono się ich na tym soborze aż 36.

Na tym „najwspanialszym kongresie narodów, jaki kiedykolwiek świat widział” (jak to nazwie niemiecki historyk jeszcze pod koniec XIX w.), polska *natio* zaznaczyła swoją obecność z wyjątkową siłą: siłą myśli i emocji zarazem. W jej skład weszli: jako przewodniczący – arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Trąba, dwóch biskupów doktorów praw: płocki – Jakub Kurdwanowski oraz poznański, Andrzej Łaskarzyc, a także Paweł Włodkowiec – rektor Uniwersytetu Krakowskiego, najznakomitszy reprezentant krakowskiej szkoły prawa narodów. Poza sporami dotyczącymi relacji między władzą papieża a soboru, w których polscy reprezentanci sprzyjali koncyliaryzmowi, najważniejszym zagadnieniem dla polskiej *nationis* był spór z Krzyżakami. Spór nie tylko partykularny,

o granice, ale generalny – o zasady: o władzę papieża i cesarza nad niewiernymi, o charakter misji chrześcijańskiej wobec niewiernych. Spór na memoriały przywieszane na drzwiach katedry w Konstancji i prezentowane komisjom soborowym.

Na poziom doktrynalny polskie stanowisko podniósł Paweł Włodkowic (ok. 1370/1373–1435). Urodzony w Brudzeniu Dużym w ziemi dobrzyńskiej, pierwsze nauki pobierał w szkole kolegiackiej świętego Michała w Płocku. Wykształcony w prawie na uniwersytecie w Pradze, a następnie w Padwie, reprezentował interesy Królestwa Polskiego w kurii papieskiej w Rzymie, a także w sporze z Krzyżakami przed królem Zygmuntem, zanim – jako doświadczony już prawnik, doktor dekretów – objął w 1414 r. urząd rektora Uniwersytetu Krakowskiego. Był najlepiej przygotowany do tego, by w nie-nagannej formie prawniczej przedstawić myśli wyrażone już wcześniej przez Stanisława ze Skarbimierza. Włodkowic uczynił to na soborze w traktacie zaczynającym się od słów: *Sevientibus olim Pruthenis...* („Gdy niegdyś srożyli się Prusowie...”). Tam właśnie wygłosił – w formie mowy przedstawionej w lipcu 1416 r. – śmiałą tezę, iż poganie posiadają swoje państwa z mocy prawa naturalnego (*iure naturali gentium*), którego prawo Boże bynajmniej nie unieważnia. Ani papież, ani cesarz nie mają moralnego tytułu, by pozbawiać niewiernych ich państwa, jeżeli ci chcą żyć w pokoju z chrześcijanami (dopiero z górą wiek później powtórzą te myśli hiszpańscy teologowie Francisco de Vitoria i Bartolomeo de Las Casas, broniący praw Indian do ziemi i pokoju). Władztwo krzyżackie w Prusach opiera się na pogwałceniu tej zasady, na tyranii, a nie na zgodzie tych, którzy są rządzani. Argument ten przed gremium soborowym Paweł Włodkowic wyłożył po raz pierwszy w lutym 1416 r. w piśmie *Ad aperiendam* („Na otwarcie sporu”), w którym teoretyczne koncepcje dostosował do sporu z Krzyżakami. Uznając króla nie za pana (właściciela), ale tylko za administratora dóbr i praw Królestwa, mistrz Paweł zakwestionował prawomocność zrzeczenia się przez monarchę terytoriów czy uprawnień na rzecz innych państw, ze szkodą dla własnego. Przedstawił wreszcie problem sprawiedliwego nieposłuszeństwa wobec władzy tyrańskiej, jak również – za świętym Tomaszem z Akwinu – znakomicie skonstruowaną koncepcję wojny sprawiedliwej. Cesarz nie ma prawa legalizować niesprawiedliwej wojny ani tym bardziej szafować cudzymi ziemiami. Paweł Włodkowic konkludował, że Krzyżacy nie mają prawa do zajmowanych przez siebie ziem i dóbr.

Rozgorzała ostra walka z kontrargumentami, które w tej zasadniczej debacie wysunęła strona zakonna. Istotę tej debaty znakomicie uchwycił oksfordzki mediewista Eric Christiansen: „Krzyżacy odwoływali się do tradycji [uznającej prawo panowania »wiernych« nad »niewiernymi«] i dokumentów. Polacy do zdrowego rozsądku i Arystotelesa”. Nie tylko zresztą do Arystotelesa, bo za papieżem Innocentym IV Włodkowic powtarzał przecież, że „wśród niewiernych może istnieć legalna władza i jurysdykcja” i że „do prawdziwej wiary należy ich przekonywać” (a nie przymuszać).

Po soborze w Konstancji mowy nie mogło już być o dalszym skutecznym prezentowaniu wobec „Europy” (czyli wobec opinii publicznej królestw, księstw, miast, biskupstw czy uniwersytetów na zachód od Polski) Jagiełły, Witolda oraz Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego jako ciemnych i dzikich wrogów chrześcijaństwa. W trakcie trwania samego soboru polscy dyplomaci musieli jednak toczyć bój z takim

właśnie wizerunkiem. Starła się go bowiem podtrzymywać wszystkimi środkami propaganda służąca zakonowi krzyżackiemu w jego konflikcie z Polską. Najostrzejszym piórem wynajętym przez prokuratora zakonu w Konstancji, Piotra z Ornety, okazał się znany nam już z zaciekłości antypolskiej dominikanin Jan Falkenberg. Ten w skierowanych do soboru traktatach rozwinął poglądy sformułowane w nieco wcześniej już napisanej *Satyrze przeciw herezjom i innym niegodziwościom Polaków i ich króla Jagły*. Ich treść wyraża najdobitniej powtarzane wielokrotnie w owej *Satyrze* wezwanie: „Jest rzeczą słuszną zabijać pogan [...], ale większą zasługą jest pozabijać Polaków i ich króla Jagłę niż pogan. [...] Słuszniej bowiem jest zabijać chrześcijan, którzy razem z poganami zwalczają kościół, niż pogan”. Litwini, zdaniem Falkenberga, pozornie tylko przyjęli chrzest i nadal czczą diabła; „Jagiel” jest właściwym bożkiem Polaków. Dlatego, kto Polaków nie chce zabijać, winien jest grzechu śmiertelnego.

To było już za mocno... Duża część delegatów nacji niemieckiej, także z księstw Rzeszy, była zgorszona. Polscy delegaci w Konstancji skierowali skargę na pismo Falkenberga i na samego autora do komisji soborowej do spraw wiary. Ta doprowadziła do aresztowania Falkenberga i oficjalnie uznała pismo za „błędne, skandaliczne, buntownicze, okrutne, niegodziwe i obraźliwe dla uszu pobożnych, a w swej konkluzji heretyckie”. Dyplomacja zakonna zatrzymała jednak próby skierowania tego werdyktu na sesję plenarną soboru, co zapobiegło nadaniu orzeczeniu komisji pełnej mocy prawnej. Polscy delegaci upierali się wszakże, by wniosek komisji został oficjalnie zatwierdzony. Swoim uporem i prawniczą konsekwencją doprowadzili ostatecznie do tego, że już po soborze powołana przez wybranego na nim papieża komisja trzech kardynałów wydała 13 maja 1418 r. ostateczne orzeczenie w sprawie oszczerstw Falkenberga. Jego pismo zostało potępione i zgodnie z wcześniejszym werdyktem soborowej komisji wiary uznane za błędne, gorszące, podburzające, okrutne, krzywdzące i bezwstydné. Czy heretyckie – to miało być rozstrzygnięte w przyszłości. W każdym razie inkryminowany traktat miał zostać haniebnie zniszczony, to jest podarty i podeptany, pod groźbą klątwy nie wolno go było pochwałać, bronić ani nawet w jakikolwiek sposób podtrzymywać (samego Falkenberga, skazanego wcześniej przez kapitułę generalną dominikanów na dożywotnie uwięzienie, papież zabrał ze sobą jako więźnia do Rzymu).

Determinacja, z jaką posłowie polscy zdecydowali się bronić dobrego imienia swego państwa, swojej polityczno-historycznej wspólnoty, się opłaciła. Nie chodziło tylko o los zapisanych wezwaniem do ludobójstwa kartek traktatu niemieckiego pismaka. Sens tego wysiłku intelektualnego i zarazem patriotycznego zaangażowania najlepiej wyraził bezstronny komentator, Jakub Caro – znakomity niemiecki historyk Polski z drugiej połowy XIX w.: „Peñnomocnicy polscy mogli z pełnym zadowoleniem spoglądać na osiągnięte rezultaty, bo to jedno wyraźnie można było poznać, że przy tej sposobności Polska wprowadzona została do zespołu europejskich ludów jako państwo potężne, znaczne, czynne”.

To prawda, że w prawnym sporze z zakonem sobór w Konstancji nie przyniósł żadnego postępu. Na pewno jednak nie był dla Polski okazją zmarnowaną. O trwałym śladzie, który pozostawił udział polskiej delegacji w tym największym forum europejskim (aż do kongresu wiedeńskiego w roku 1814–1815), przypomniał 580 lat później

Jan Paweł II. Następca świętego Piotra, absolwent i profesor tej samej uczelni, której profesorem i rektorem był Paweł Włodkowic, wybrał także wielkie forum, by przywołać dokonania soboru w Konstancji. Mówił o tym 5 października 1995 r. na uroczystej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku z okazji jej 50-lecia. Mówił, że „nie żyjemy w świecie irracjonalnym i pozbawionym sensu, ale że istnieje w nim moralna logika, która rozjaśnia ludzką egzystencję i umożliwia dialog między ludźmi i narodami”. I w tym kontekście właśnie stwierdził, iż „jeśli pragniemy, aby wiek przymusu ustąpił wiekowi perswazji, musimy się nauczyć rozmawiać [...] językiem zrozumiałym dla wszystkich”, językiem „powszechności ludzkich praw”. Musimy wrócić do refleksji etyczno-prawnej, jaką podczas soboru w Konstancji zapoczątkowali przedstawiciele Uniwersytetu Krakowskiego z Pawłem Włodkowicem na czele, którzy „odważnie bronili prawa pewnych narodów europejskich do istnienia i autonomii”. W tym też świetle wskazał Jan Paweł II zasadniczą różnicę „między szaleńczym nacjonalizmem, głoszącym pogardę dla innych narodów i kultur, a patriotyzmem, który jest godziwą miłością własnej ojczyzny”.

Tak, to jest istotny, najtrwalszy owoc polskiego udziału w soborze w Konstancji, tam wprowadzonych w obieg myśli europejskiej traktatów Pawła Włodkowica o prawie narodów do wolności. To jest lekcja Europy Środkowo-Wschodniej, wykorzystującej doświadczenie cywilizacyjne, które nagromadziło się w średniowiecznych uniwersytetach – i otwartej na wschód, by to doświadczenie odczytać po swojemu i szerzyć przez unię, przez przyciąganie do wolności. Gotowej bronić tej wolności przed imperialnymi pokusami – z zachodu, południa czy ze wschodu.

Wolna unia polsko-litewska, choć przejdzie wiele kryzysów, nie rozpadnie się przez cztery wieki. W latach trzydziestych XV w. swojego w niej miejsca dobiją się prawosławne elity Litwy – to już nie będzie odtąd tylko unia katolików, przywileje horodelskie na prawosławne bojarstwo rozszerzą Władysław Jagiełło, wielki książę Zygmunt Korybutowicz, w końcu Kazimierz Jagiellończyk. Ten syn Jagiełły będzie przez pół wieku osobistym zwornikiem tej unii. Potwierdzi ją później nowa, doskonalsza forma unii lubelskiej, ufundowana w 1569 r. na idei wspólnego sejmu, wspólnej reprezentacji i wspólnej elekcji władcy przez obywateli. Unia religijna, ta z Brześcia, z roku 1595, nie odegra – niestety – planowanej roli narzędzia zgody między narodami. Nie uda się poszerzenie politycznej unii na Ukrainę – choć będzie przecież taka piękna, choć spóźniona, próba w postaci unii hadziackiej w roku 1658. Unię zniszczą dopiero przemoc zewnętrzna, rozbiory, likwidacja Rzeczypospolitej. A jednak – nie do końca. Podniesione w kolejnych powstaniach hasło „za wolność naszą i waszą” (od powstania listopadowego w tej właśnie formie) będzie potwierdzeniem niewygasłego ducha tej idei. Odezwa Józefa Piłsudskiego „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego”, wydana 22 kwietnia 1919 r. po wyzwoleniu Wilna z rąk bolszewików, próbowała przypomnieć ową ideę na progu odzyskanej przez Polskę niepodległości. Wtedy przegrała ona z siłą nacjonalizmów. Przegrają wszyscy potem w starciu z siłą totalitaryzmów – niemieckiego i sowieckiego. A jednak idea wolności między narodami odżyje znowu. Przypomni o niej Jan Paweł II w swych homiliach z czerwca 1979 r., z czasu I pielgrzymki do Polski (w szczególności w homilii wygłoszonej wtedy w Gnieźnie). Potem, we wrześniu 1981 r.,

przywoła tę samą ideę niepodzielnej wolności narodów „Posłanie I Zjazdu Delegatów NSZZ »Solidarność« do ludzi pracy Europy Wschodniej”.

To jest wielkie dziedzictwo Stanisława ze Skarbimierza, Mikołaja Cebulki, Pawła Włodkowica, Mikołaja Trąby. Dziedzictwo Jadwigi i Jagiełły, ale również Witolda, Radziwiłłów i Czartoryskich, Lelewela i Mickiewicza (wspólnie byli autorami hasła „za wolność naszą i waszą”). Nie możemy o nim zapomnieć. Musimy je praktykować.

ANDRZEJ NOWAK – profesor zwyczajny, kierownik Pracowni Historii Europy Wschodniej i Studiów nad Imperiami XIX–XX wieku w Instytucie Historii PAN, kierownik Zakładu Dziejów Europy Wschodniej w Instytucie Historii UJ. Specjalizuje się w zakresie historii politycznej i intelektualnej Europy Wschodniej, studiów nad pamięcią europejską oraz badań porównawczych nad imperiami. Wykładał historię Polski i Rosji na uniwersytetach amerykańskich (Columbia, Harvard, Rice, University of Virginia), angielskich (Cambridge, University College of London), kanadyjskich (Toronto, Simon Fraser, McGill, University of Alberta), jak również m.in. w Brnie, Tokio, Dublinie. Członek Polsko-Rosyjskiej Komisji Historycznej PAN-RAN; kolegium redakcyjnego „Kwartalnika Historycznego”, „Dziejów Najnowszych”, a także redaktor naczelny „Studiów z Dziejów Rosji i Europy Środkowo-Wschodniej”. Od 1980 r. zaangażowany w działalność publicystyczną w ramach drugiego obiegu. W stanie wojennym współorganizator tzw. WUJ-a (Wolnego UJ), prowadzącego wykłady dla grup robotniczych; współpracownik Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego zorganizowanego przez ks. Kazimierza Jancarza w Nowej Hucie. W latach 1988–1994 sekretarz redakcji, a następnie redaktor naczelny wywodzącego się z „podziemia” dwumiesięcznika „Arka”. Od końca 1994 do końca 2012 r. redaktor naczelny dwumiesięcznika „Arcana”. Opublikował 34 książki, a także blisko 200 artykułów i recenzji naukowych.